



jących w 1928 r. robotników. Zarząd zobowiązał się w nim do należytego zaopatrzenia apteki fabrycznej.

W tym samym czasie pracował w Krośnie mgr farmacji Stefan Bogacki, właściciel nowej drogerii, w której można było też nabywać świeże medykamenty.

Nadal jednak najbardziej popularne i cieszące się renomą były apteki Jana Mieszkowskiego przy Placu 3 Maja i Wojtyńkiewicza w Rynku.



J.Mieszkowski cały czas budował swój lokalny autorytet rzetelną pracą i aktywnością społeczną. Szereg lat był ławnikiem w mieście, a przez 6 lat radnym miejskim. Miał on także swój poważny udział w pracach komitetu przygotowującego uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod pomnik (fot.), którym chciano uczcić pamięć Ignacego Łukasiewicza. Uroczystość ta odbyła się w Krośnie 30 września 1928 r.



W latach 30. wspierał finansowo Fundusz Obrony Narodowej. Współpracując z Dyrekcją Kolei Państwowych w Krakowie, wydawał leki na koszt kolejowej Kasy Chorych, za co otrzymywał najpierw 50-procentowy, a następnie 100-procentowy dodatek od ogólnej sumy rachunków za leki. Umowę w tej sprawie zawarł J.Mieszkowski jeszcze w listopadzie 1909 r. i cały czas ją realizował.

W świetle zachowanego pisma Dyrekcji Kolei rachunek za leki wydane przez aptekę w I kwartale 1922 r. wyrażał się kwotą 60.760,26 marek polskich.

***Fundusz Obrony Narodowej, FON, utworzony na mocy dekretu Prezydenta RP z 9 kwietnia 1936 r. w celu uzyskania dodatkowych środków na dozbrojenie armii i wojskowy program inwestycyjny. Gromadził środki pochodzące ze sprzedaży nieruchomości i ruchomości stanowiących własność państwa, a pozostających pod zarządem wojska, dotacji skarbu państwa (głównie z pożyczki uzyskanej przez rząd we Francji) oraz darów i zapisów osób prywatnych i instytucji.***

*Łącznie na FON zgromadzono około 1 mld złotych, z czego wartość wpłat i darowizn od ludności wyniosła do maja 1939 około 37,7 mln złotych. Środki gotówkowe zużyto na dozbrajanie armii, dary rzeczowe w złocie i srebrze wywieziono 1939 za granicę. W czasie II wojny światowej zbiórkę na FON kontynuowano głównie wśród Polonii amerykańskiej i kanadyjskiej. 1945 r. minister obrony narodowej rządu na emigracji przeznaczył środki FON na pomoc dla byłych żołnierzy Armii Krajowej i pozostałych po nich rodzin.*



*Marka polska stała się prawnym środkiem płatniczym na terenie całej Polski dopiero ustawą z dnia 15 stycznia 1920 r.*

*PKKP wydała też tzw. przekazy o nominałach 50.000.000 i 100.000.000 mkp, datowane na 20 listopada 1923 r.*

Apteka „Pod Barankiem” Jana Mieszkowskiego wykonywała na miejscu wszystkie tinctury, percolaty, gdyż specyfików wówczas zbyt wiele nie było. Aptekarz sprowadzał np. z Austrii wina lecznicze jako surowiec, zaś zioła skupował od okolicznych zielarzy. Suszono je potem w aptece. Nieliczne specyfiki i niektóre surowce sprowadzał także z firmy ZORIA w Krakowie. Utrzymywał też kontakt m. in. z fabryką pudełek aptecznych Jana Pacanowskiego w Krakowie, która wyrabiała (jeszcze przed I wojną światową) maszynowo kapsułki na proszki.

Mając 75 lat, w 1933 r. J. Mieszkowski wydzierżawił aptekę Sebastianowi Szczepańskiemu. Dzierżawa trwała do 1938 r.

W zawodzie aptekarskim przepracował ponad 50 lat, za co został wyróżniony odznaką honorową. Jan Mieszkowski zmarł w Krośnie 23 listopada 1944 roku (pochowany w grobowcu rodzinnym na cmentarzu komunalnym), kiedy apteka była już własnością jego córki Janiny.

## Janina z Mieszkowskich - Merska



Urodziła się 2 czerwca 1910 r. Po ukończeniu gimnazjum, studiowała farmację w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Tytuł mgr farmacji uzyskała w 1932 r.

Od stycznia 1933 r. zaczęła pracę w aptece Rysaka w Jaśle, a po roku pracowała już w Krośnie pod okiem ojca. W 1938 r. przejęła po nim tę aptekę na własność i prowadziła ją przez okres okupacji niemieckiej (w tym czasie pomagała partyzantom, wydając im leki, a szczególnie opatrunki) oraz po wojnie do października 1950 r.

Widząc nieuchronność zbliżającego się upaństwowienia apteki i w związku z tym pozbawienia jej rodzinnej własności, kilka miesięcy przed oficjalną decyzją oddała ją państwu. Wprawdzie otrzymała propozycję kierowania już państwową apteką, lecz propozycję tę odrzuciła.

*Z archiwum rodzinnego ...*



J.Merska z mężem



Janina z Mieszkowskich – Merska

Mgr. Janina Merska  
Krośno  
apтека pod "Barankiem"

COPIA

D e W y s e k i e g o  
URZĘDU WOJEWODZKIEGO LWOŃSKIEGO  
we L w o w i e

Niżej podpisana prosi uprzejmie o łaskawe nadanie koncesji na prowadzenie apteki w Krośnie przy placu 3-go Maja.- Na poparcie swej prośby załącza:

- 1/ Kontrakt kupna-uprzedazy apteki.
- 2/.Wierzytelny odpis dyplomu.
- 3/.Poświadczenie praktyki potwierdzone przez lekarza powiatowego w Jasle.-
- 4/.Poświadczenie praktyki potwierdzone przez lekarza powiatowego w Krośnie.-
- 5/.Poświadczenie praktyki z Gremjum Aptekarzy Małopolski Zachodniej w Krakowie.-
- 6/.Zezwolenie Ministerstwa Opieki Społecznej na zarządzanie apteką w Krośnie.-
- 7/.Metrykę urodzenia.-
- 8/.Metrykę ślubu.-
- 9/.Poświadczenie obywatelstwa polskiego.-
- 10/.Świadectwo moralności.-
- 11/.Poświadczenie zamieszkania.-
- 12/.Świadectwo ukończenia Kursu Ratownictwa Sanitarnego Obrony Przeciwlotniczo-Gazowej.-

Proszę uprzejmie o łaskawe przywrócenie mi  
nia mej prośby.-

L. Z. 214/II/38

Do

Pani Magistra farmacji

Janiny Tekli Henryki Żim. z Mieszkowskich Marskiej

w K r o ś n i e

Kontaktem kupna i sprzedaży z daty 9 lutego 1938 r. Num. repert. 128/38 notarialnie legalizowanym nabyła Pani zapasy i urządzenie apteki publicznej w Krośnie od Mgra Jana Michała Stanisława Żim. Mieszkowskiego i na tej podstawie wniosła Pani podanie do Urzędu Wojewódzkiego z prośbą o nadanie jej koncesji na samoistne prowadzenie tej apteki wykazując do tego zupełną ustawowo wymaganą kwalifikację.-

Zakładając to podanie, po wysłuchaniu reprezentacji zawodowych wymienionych w § 50 Ustawy z dn. 18 grudnia 1906 r. Dz. p. p. Nr. 5 z 1907 nadaję Pani k o n c e s j ę na samoistne prowadzenie apteki publicznej w Krośnie ze stanowiskiem przy placu Trzeciego Maja ponieważ prawidłowo przeprowadzone dochodzenia wykazały, że dalsze utrzymanie tej apteki leży w interesie ludności i zdrowia publicznego.-

Dokument koncesyjny wydany będzie po złożeniu taksy za koncesję w myśl § 11 powołanej ustawy w kwocie 1000 zł. którą należy wpłacić do I. Kasy Skarbowej we Lwowie na rachunek wdów i sierót po farmaceutach , należności stempłowej w kwocie 44 zł. i opłaty za ogłoszenie w Urzędowym Dzienniku Wojewódzkim w wysokości ustalonej przez Administrację tego dziennika.-

Do uiszczenia powyższych należności wyznacza się termin czterech tygodni licząc od dnia następnego po dniu doręczenia niniej-

0.5111.38

szej decyzji z ostrzeżeniem, że w razie nie uiszczenia taksy w powyższym terminie prośba o nadanie koncesji uważaną będzie za cofniętą.

Z wydaniem nowego dokumentu koncesyjnego gacnie ważność dokumentu koncesyjnego z dnia 10 maja 1909 L.VII.a. 28513 na podstawie którego apteka ta była dotychczas prowadzona .-

O powyższym zawiadaniach z tym, że załączniki prośby zwrócone zostaną po wydaniu dokumentu koncesyjnego.-



W O J E W Ó D Z A

/ Alfred Biżyk /



O d p i s

ODPIS WIERZYTELNY.

K O N T R A K T   S P R Z E D A Ż Y

zwarty w dniu dzisiejszym między Janem Nepomocznym (3 im.) Mieszkowskim Magistrem farmacji zamieszkałym w miejscowości Pozbywajęcym z jednej strony a jego córką Janiną Teklą Henrycką Mieszkowską Herską Magistrem farmacji Dzierżawoszyńską aptekarską w miejscowości Nabywczynią z drugiej strony w następującej sprawie:

I. -----  
Ponieważ Jan Nepomocznik Michał Stanisław (3 im.) Mieszkowski Magister farmacji będąc na podstawie koncesji b. Namiestnictwa dla b. Galicji we wsiwie z dnia 30.VI.1908 L.74029 uprawnionym do samodzielnego wykonywania przemysłu aptekarskiego w Krośnie jest też wyłącznym właścicielem apteki w miejscowości "pod Barankiem" a zarazem właścicielem leków, środków uniwersalnych, różnego rodzaju naczyń, przyrządów chirurgicznych i innych rzeczy aptekarskich, szklanych i porcelanowych w lokalu apteki, w magazynach, piwnicy i na strychu oraz właścicielem całego urządzenia aptecznego. -----  
Ponieważ Jan Nepomocznik Michał Stanisław (3 im.) Mieszkowski sprzedaje niniejszym swojej córce Janinie Tekli Henryce (3 im.) z Mieszkowskich wraz z tą swoją apteką w Krośnie, oraz wszelkie rzeczy aptekarskie, akcesoria, naczyń i przyrządów chirurgicznych i aptecznych wszystkie towary w lokalu, na strychu, w piwnicy i w magazynach aptecznych w Krośnie szklane, szklane i porcelanowe wraz z całym urządzeniem aptecznym, niż i sielce, ani osób trzecich nie wstrzegając, ani nie wyjąwszy, jednak bez poręki za ilość, jakość i stan materiałów i przyrządów aptecznych oraz całego urządzenia Janinie Tekli Henryce (3 im.) z Mieszkowskich wraz z tą swoją wyłączną i nieograniczoną własnością, a podpisana Janina Tekla Henryca (3 im.) z Mieszkowskich Herska wspomnianą apteką w Krośnie, wraz z rzeczami, naczyń, przyrządów, towary i urządzenie na własność nabywa. -----

II. -----  
Wzajemnie omy nabywca uzawiają strony zgodnie ze Nabywczynią zobowiązana w dniu płacić temże Pozbywającemu na czas jego życia miesięcznie po 300,- zł (trzysta złotych) z góry każdego pierwszego dnia każdego miesiąca a to powyższy od chwili uzyskania przez Nabywczynię o odpowiednich władz administracyjnych koncesji na wykonywanie samodzielnego przemysłu aptekarskiego w Krośnie. -----

III. -----  
Własność niniejszego kontraktu zawieszona jest od przeniesienia przez właścicielkę nadzę na osobę Nabywczyni koncesji na samodzielnego prowadzenie i wykonywanie przemysłu aptekarskiego odnośnie do sprzedanej niniejszym apteki w Krośnie "pod Barankiem" w miejsce Pozbywającego. -----  
W celu umożliwienia Nabywczyni uzyskania takiej koncesji tak Pozbywający, jak i Nabywczyni zobowiązani są poczynić niezwłocznie u właściwych władz administracyjnych starania o przeniesienie koncesji na prowadzenie sprzedanej apteki w Krośnie na rzecz Nabywczyni, a w szczególności obowiązani są podpisać wszelkie w tym celu potrzebne podania do władz i dokumenty. -----  
Nabywczyni zaś już oświadczyła Sprzedającą wyrazić, że na wypadek i pod warunkiem nadania Nabywczyni koncesji na samodzielnego wykonywanie przemysłu aptekarskiego w Krośnie on sam Sprzedającą zrzeka się wszelkich praw z przysługującej mu koncesji na wykonywanie odnośnego przemysłu aptekarskiego w Krośnie. -----



IV.

leniewa- Kupującą dzierżawcy obecnie od Sprzedawcy w Krośnie przeto strony zgodnie postanowiły się bezwarunkowo ważyć, że wspomniana umowa dzierżawy się łączy z Nabywcy koncesji wykonywania przemysłu aptecznego w Krośnie od którego to warunku ważność niniejszej umowy, wszelkie postanowienia umowy dzierżawy strony zgodnie obowiązują.

Strony kontraktujące umawiają przytem, że w-rzecz jeśli koncesja nie zostanie im udzielona, to wspomniana umowa dzierżawy się łączy z Nabywcy koncesji wykonywania przemysłu aptecznego w Krośnie od którego to warunku ważność niniejszej umowy, wszelkie postanowienia umowy dzierżawy strony zgodnie obowiązują.

V.

Przedmioty niniejszego kontraktu ma już Nabywcy w swoim posiadaniu jako dzierżawcy, a z chwilą gdy kontrakt ten stanie się bezwarunkowo ważnym to Ony przedmioty te dalej posiadać się jako już prawny ich właścicielka.

VI.

Wszystkie spoznaczenia niniejszego kontraktu, wszelkie należności skarbowe i stemplowe z powodu tej transakcji wymiarowć się mające tudzież koszty podatkowe do władz administracyjnych i starań o udzielenie koncesji ponosi Nabywcy z własnych fundusów bez regresu do Sprzedawcy i to nawet gdyby kontrakt niniejszy z przyczyn w ust. III, wymienionych nie stał się ważnym.

VII.

Strony kontraktujące zrzekają się prawa unieważnienia niniejszego kontraktu i jakiegokolwiek bądź powodu.

VIII.

Wszelkich wymiarowch podaje Sprzedawcy, że urodził się dnia 16.V.1858 r. w miejscowości Krosno, obecnie 79 lat. Strony odczytaniu uznają kontrakt ten jako zgodnie z ich wolą sporządzony i w dowód tego go podpisują.

Krosno dnia 9-go lutego 1938 r.

Jan Mieszkowski m.p. Mgr. Janina z Mieszkowskich Merska wr. Jan Nepomocin Michał Stanisław Mieszkowski m.p. Numer repertorium 126/38. Poświędca, z znanymi osobami: Pan Jan Nepomocin Michał Stanisław troje inion SPISZKOWSKI i Pani Magister Farmacji Janina z Mieszkowskich Merska, samodzielną w KROSNIE, powyższy kontrakt sprzedasz wobec mnie własnoręcznie podpisali.

Wymiarono i pobrano: opłatę stemplową z artykułów dziesiątego i szesnastego artykułu składowego ustawy stemplowej od sumy osiemnastu tysięcy (18,000/ złotych, jeden procent, to jest sto osiemdziesiąt /180/ złotych, dziesięć procent podatku, osiemnastu /18/ złotych, czyli razem sto dziewięćdziesiąt osiem /198/ złotych i należność z paragrafu drugiego pierwszego taryfy notarialnej dziewięćdziesiąt /9/ złotych czterdzieści /40/ groszy.

Krosno, dnia dziewiątego lutego tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego 19.11.1938 roku, Stanisław Miasik m.p. notariusz Pieczęć Stanisław Miasik Notariusz w Krośnie.

Numer repertorium 155/38

Poświadczam doskonną zgodność tego odpisu wierzytelności z okazanym mi oryginałem.

Wymiarono i pobrano: opłatę stemplową z artykułu sto pięćdziesiątego siódmego ustawy stemplowej złotych 2, dziesięć procent podatku groszy 20, razem złotych dwa groszy dwadzieścia, należności notarialnej z paragrafu dwudziestego

1564.

**ZARZĄDZENIE MINISTRA ZDROWIA**

z dnia 7 października 1950 r.

**w sprawie ustanowienia przymusowego zarządu państwowego nad przedsiębiorstwami.**

Na podstawie art. 1 ust. 3 i art. 2 dekretu z dnia 16 grudnia 1918 r. w przedmiocie przymusowego zarządu państwowego (Dz. Pr. P. P. Nr 21, poz. 87) w brzmieniu rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 25 maja 1927 r. (Dz. U. R. P. Nr 49, poz. 437), art. 14 rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 28 grudnia 1934 r. (Dz. U. R. P. Nr 110, poz. 976) oraz art. 1 dekretu Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 1 września 1939 r. (Dz. U. R. P. Nr 87, poz. 545) zarządza się, co następuje:

§ 1. Ustanawia się przymusowy zarząd państwowy:

1) z dniem 7 października 1950 r. — nad przedsiębiorstwem:

Apteka spadkobierców Romana Stockiego, dzierżawca Roman Zaręba w Warszawie, ul. Targowa 59;

2) z dniem 13 października 1950 r. — nad przedsiębiorstwami:

a) Apteka „pod Aniołem” spadkobierców Stanisława Gniatczyńskiego w Ostrowie Wielkopolskim;

b) Apteka Ignacego Flisara w Świeradowie-Zdroju, ul. Sienkiewicza 456;

c) Apteka „Nadwiślańska” Wandy Bazukówny i Zofii Bucholcowej w Toruniu, ul. Lubicka 43;

d) Apteka „Piastowska” Mgra Dionizego Perlińskiego w Gliwicach, ul. Zwycięstwa 9;

e) Apteka „Nowa” Mgra Jana Rysaka w Jaśle, ul. Kościuszki 15;

f) Apteka Wiktora Wagnera w Łodzi, ul. Piotrkowska 67;

g) Apteka Mgra Abrahama Milleta, dzierżawca Jan Waller w Nowym Targu, Rynek 18;

3) z dniem 19 października 1950 r. — nad przedsiębiorstwami:

a) Apteka „Św. Elżbiety” w Krakowie, ul. 3-go Maja 33;

b) Apteka Mgra Zofii Marii Haladewicz-Pokoronowej w Rymanowie, ul. Sanocka 5;

c) Apteka „pod Koroną” Franciszka Mikołajczyka w Zielonej Górze, ul. Pionierska 62;

d) Apteka „pod Orłem” Antoniego Hakosteckiego w Oleśnicy Śląskiej, Rynek 11;

e) Apteka spadkobierców Bolesława Franciszka Szejnkowskiego, dzierżawca Mgr Roman Kołodziejczyk w Szczakowej, ul. Jagiellońska 18;

4) z dniem 25 października 1950 r. — nad przedsiębiorstwami:

a) Apteka „pod Barankiem” Mgra Janiny Merskiej w Krośnie, Plac Daszyńskiego 4;

b) Apteka „pod Gwiazdą” Mgra Marcelego Najdera w Bolesławcu Śląskim, ul. Kubika 12;

c) Apteka „pod Opatrznością” Mgra Adama Jasińskiego w Suchej k/Zywca, ul. Piłsudskiego 1/15;

d) Apteka „Stara” Mgra Romana Kolakowskiego w Bytomiu, Plac Inwalidów 28;

W ten sposób dobiegły końca losy apteki „Pod Barankiem” związanej w Krośnie z Janem Mieszkowskim i jego córką. Nieoficjalnie w społecznym obiegu jej nazwa funkcjonowała nadal, a godło apteki nad dawnym wejściem do niej zachowało się do chwili obecnej.

## Apteka realna „Pod Jednorożcem”

W okresie międzywojennym nadal związana była z rodziną Wojtynkiewiczów. Aptekę, której właścicielem był Stanisław Cz. Wojtynkiewicz dzierżawiła od 1918 r. Janina Wojtynkiewiczowa, wdowa po aptekarzu Władysławie. Umowa dzierżawna z bratem stryjecznym jej męża była co kilka lat prolongowana, a aptekę cały czas prowadzili dyplomowani farmaceuci. Od 18 kwietnia 1918 r. zarząd apteki sprawował Józef Ch. Rubinstein, a w latach 1926-1928 Maksymilian Stankiewicz. W 1929 r. przejął zarząd Henryk Tanzer, zaś w latach 1930 Sebastian Szczepański. Od 1932 r. zarządzała apteką M. Czesława Lorensowa, a w latach 1933 -1939 Feliks Sygali. Z końcem okupacji niemieckiej kierował apteką także Stanisław Kuhnen.

Po okresie niedoli okupacyjnej nie nastąpił koniec trudnych czasów dla apteki. Już po zakończeniu działań wojennych w regionie krośnieńskim, Zarząd Okręgowej Izby Farmaceutycznej w Rzeszowie pismem z 27 grudnia 1944 r. powiadomił Stanisława Kuhnena, że zatwierdził go w aptece na stanowisku kierownika przymusowego. Uchwałą Izby Janina Wojtynkiewiczowa została pozbawiona *Natychmiast jakichkolwiek praw do dzierżawy lub innej formy posiadania i korzystania z tej apteki.*

Kuhnen otrzymał polecenie sprawowania całkowitej opieki nad apteką, jej towarem i majątkiem do czasu otrzymania szczegółowych instrukcji. W świetle polecenia, jego zadaniem było przeprowadzenie dokładnej inwentaryzacji w obecności urzędnika Starostwa Powiatowego i przedstawiciela obcej apteki.

Dzierżawczyni apteki Jana Wojtynkiewicza otrzymała także pismo (datowane 28 grudnia 1944 r.) podpisane przez mgra Jana Lipkę,



## **Okres najnowszy – Polska Ludowa III Rzeczypospolita (1951 - 1995)**

Przygotowana od pewnego czasu decyzja przejęcia na własność państwa wszystkich aptek została ostatecznie wprowadzona w życie na mocy ustawy z 8 stycznia 1951 r.

Przed 1951r. w nowo powstałym po wojnie województwie rzeszowskim funkcjonowały 63 apteki prywatne. Wszystkie te apteki przejęło teraz przedsiębiorstwo – Centrala Aptek Społecznych Oddział Wojewódzki z siedzibą w Przemyślu.

Ustawa z 1951 r. dokonała zasadniczych zmian w ustroju polskiego aptekarstwa, przekształcając apteki w placówki społecznej służby zdrowia. Państwo wzięło na siebie pełną odpowiedzialność za dostarczanie leków pełnowartościowych i dostępnych dla ogółu społeczeństwa.

W nowych warunkach ustrojowych farmaceuci w systemie aptek uspołecznionych realizowali właściwe zabezpieczenie ludności w leki.

### ***Represje wobec aptekarzy w początkach PRL***

*Na terenie całego kraju urzędy skarbowe doręczały do aptek wezwania do podwyższania zadeklarowanych przez nie obrotów i dochodów oraz dokonywały obliczeń na podatek obrotowy i dochodowy za rok 1949 i 1950 w oparciu o nierealne normy średniej zyskowności netto – z pominięciem prawidłowo prowadzonych ksiąg aptecznych.*

*Urząd Skarbowy w Krośnie ustalił obroty apteki „Pod Barankiem” mgr J. Merskiej w Krośnie o 220% wyższe, aniżeli osiągnięte i prawidłowo zeznane. W związku z tym właściciele apteki wymierzono domiary za rok 1946, 1947 i 1948 w kwocie 2 646 709 zł, grzywnę w wysokości 5 293 481 zł i koszty egzekucyjne wynoszące około 600 000 zł.*

*Egzekucje przeprowadzano poprzez konfiskatę utargu dziennego w okresie od stycznia do lipca 1949, zablokowanie konta apteki w banku, przeprowadzanie rewizji domowych i osobistych, egzekucje ruchomości i ich sprzedaż na licytacji. Komornicy zajmowali prywatne rzeczy w mieszkaniach (np. pianino, stół, dywan, garnitury).*

*Tak obliczonymi domiarami za lata 1946-1950 objęto na terenie kraju 341 aptek prywatnych. Pozbawione dochodów apteki nie były w stanie należycie dbać o zaopatrzenie, głównie z uwagi na brak środków obrotowych ). Wskutek*

*tęgo dalsze prowadzenie aptek nie zapewniało najczęściej nawet skromnego utrzymania ich właścicieli.*

*W konsekwencji w latach 1948 i 1949 likwidacji uległo ok. 100 małych aptek prowincjonalnych, przeważnie prowadzonych i zarządzanych przez właściciela i kierownika w jednej osobie i z reguły jedynych w danej miejscowości.*

W latach 50 powołano w Rzeszowie oprócz wyżej wymienionego przedsiębiorstwa także dwa oddzielne – „Centrosprzęt” (handel sprzętem medycznym) i „Centrofarm” Hurtownia terenowa nr 14 (handel hurtowy artykułami farmaceutycznymi i sanitarnymi; istniała do 1956 r.).

*W końcu 1950 r. w kraju było 1878 aptek, w tym:*

*- **prywatnych 1484**, co stanowiło 79% ogólnej liczby aptek w kraju;*

*- społecznych (państwowych) 394 apteki co stanowiło 21%*

*Jedna apteka przypadała na 13 720 mieszkańców, tj. ponad 4 razy więcej, niż obecnie.*

*W aptekach prywatnych zatrudnionych było 3993 osób personelu fachowego oraz ok. 4500 osób personelu pomocniczego. Ogółem w aptekach prywatnych pracowało **8500** osób.*

Oddział Wojewódzki Przedsiębiorstwa Centrala Aptek Społecznych m. in. zaopatrywał apteki w leki i artykuły sanitarne, uruchamiał nowe apteki, doposażał je, uzupełniał kadry i szkolił personel, otwierał apteki nieczynne i rozwijał sieć punktów aptecznych.

W sierpniu 1953 r. CAS na woj. rzeszowskie została przemianowana na Rzeszowskie Przedsiębiorstwo Aptek z siedzibą w Przemyśle (siedzibę dyrekcji przeniesiono w 1955 r. do Rzeszowa). Natomiast w lipcu 1956 r. z połączenia przedsiębiorstwa „Centrofarm” i Rzeszowskiego Przedsiębiorstwa Aptek powstał Rzeszowski Zarząd Aptek 3 w Rzeszowie. W 1959 r. został on podporządkowany Wydziałowi Zdrowia i Opieki Społecznej Prezydium WRN w Rzeszowie.

W ramach tych i późniejszych przekształceń funkcjonowały dotychczasowe lub powstawały nowe apteki, także w mieście (okresowo działały także punkty apteczne m. in. w niektórych zakładach przemysłowych) oraz apteka szpitalna i apteka MSW.

Elżbieta Gierlach

## *Pharmacies and pharmacists from Krosno from 16th to 20th century*

In 1431 king Władysław Jagiełło issued a document permitting town councilors from Krosno to buy one lan of land for the hospital needs. First pharmaceutical stalls were documented to exist in Krosno in 1523, and in 1576 there were two pharmacists in town: Paweł and Jan. In 17th century there lived a few pharmacists in town, including Mutius Cantellus from Rome and his son Hieronim. One of the most famous pharmacists was Jakub Roskiewicz from Łomża. In 1614 monks from the Society of Jesus founded a pharmacy in their college. Jan Łagoński, the last monastic pharmacist and a hospital caretaker, became an owner of the pharmacy after the society dissolution in 1773. There was only one pharmacy in town throughout the 19th century. Apart from Łagoński, there were two other pharmacists in Krosno: Leopold Chodacki and, from August 1863, Wojciech Pik. Perhaps it was the latter who named the pharmacy „pod Jednorożcem” („under the unicornæ). Pik married Maria Stacherska, who was the sister of Ignacy Łukasiewicz’s wife Honorata. They had a son Franciszek Pik-Mirandola, a pharmacist, a popular poet at that time and a translator. In 1885 the pharmacy was leased by Aleksander Żurawski. Karol Horitz was also one of the leaseholders. Wincenty Wojtynkiewicz, Master of Science, bought Wojciech Pik’s pharmacy in 1905. His successor was Stanisław Czesław Wojtynkiewicz who was the pharmacy owner till his death in 1950. Jan Mieszkowski founded the second pharmacy in Krosno named „pod Barankiem” („under the lamb”) and his daughter Janina Merska run it till the end of October 1950. The next pharmacy in town was founded by county health-insurance fund and was governed by J. Bunzel, J. W. Herbat, C. Lorensow and W. Cyronek and its traditions were continued by the pharmacy PZF „Cefarm” nr 37-003. Perhaps in the 1920s there was a company pharmacy in glassworks.



Mgr farm. **Elżbieta Gierlach** – ur. 13 czerwca 1963 roku w Brzozowie. Farmaceuta z zamiłowania, po maturze ukończyła wydział farmaceutyczny na Medycznym Studium Zawodowym w Przemysłu a następnie Wydział Farmaceutyczny Akademii Medycznej w Krakowie. Swą pracę magisterską poświęciła historii aptek krośnieńskich. Długotrwała choroba nie pozwoliła jej na podjęcie pracy zawodowej, niemniej jednak cały czas uczestniczy w życiu farmaceutycznym.



Janina Merska (z d. Mieszkowska)

## *Moje dwudziestolecie* (wspomnienia)

Po okropnych trzech dobach, spędzonych w piwnicy w czasie frontu, wśród ogłuszającego huku i dygotania całego naszego schronu, 8-go września 1944 roku, nastała cisza. Nieśmiało wychyliliśmy głowy przez małe piwniczne okienko i pierwszą osobą, którą ujrzeliśmy był młody żołnierz sowiecki, stojący na straży przed domem. – A więc już nie ma Niemców.



Ranek był spokojny, pogodny, blade już jesienne słońce łagodnie oświetlało miasto. Jedynie od strony rynku widać było kłęby dymu, unoszące się znad dachów niektórych kamienic, które trawił pożar. Z kilkoma jeszcze odważniejszymi wyskoczyłam z piwnicy i biegiem pognaliśmy przez ulice, do pożaru, ratować co się jeszcze da. Pierwszy z brzegu rynku, wielki piętrowy dom wypalony od dołu, gorzał jeszcze na strychach i ogień mógł zeń łatwo przerzucić się na dalsze kamienice. Do dyspozycji mieliśmy tylko dwie gaśnice wywleczone skądś cudownym sposobem i kilkoro ludzi, którzy podobnie jak my, starali się pomóc miastu. Utworzony wąż ze wszystkich do najbliższej studni czynnej, pozwalał na podawanie wiadrami (były też tylko dwa) wody, aż na strych płonącego domu. Jak w takich warunkach można myśleć o ratunku?

A jednak. Walczyliśmy wytrwale prawie całą dobę i zwyciężyła w końcu dobra wola. I wytrwałość. Prawie nie śpiąc i nie jedząc gasiliśmy uparcie, aż wreszcie dachy przestały dymić i ogień został pokonany.





Miasto było wyludnione. Poza kilkunastu osobami, których okupanci nie zdążyli wysiedlić lub którym wyjątkowo pozwolili zostać (starcy, służba zdrowia, kaleki i chorzy), reszta mieszkańców tułała się po okolicznych wsiach i miasteczkach. W kilka dni jednak, po „przewaleniu” się ofensywy, ludzie powoli zaczęli ściągać z powrotem do miasta. Ci na piechotę, z mizernym tobołkiem na plecach, jedynym majątkiem, który udało się uratować, drudzy pchając przed sobą jakieś taczki czy wózeckie, załadowane różnymi rzeczami, inni szczęśliwsi, którzy zdobyli w jakiś sposób furkę, wjeżdżali do miasta, oglądając trwożnie po drodze leje wyrwane pociskami i zwalone, często popalone domy.

Spokoju całkowitego jednak jeszcze nie było. Niemcy odrzuceni od miasta kilkanaście kilometrów, usadowili się w okolicy Przełęczy Dukielskiej i Tarnowca i stamtąd jeszcze prawie codziennie walili ku nam ze swoich dział. Z pomiędzy osób, które wróciły wówczas do miasta, kilkoro zginęło od zabłąkanych pocisków lub odłamków.



Kiedy wojna się rozpoczęła byłam kierownikiem apteki w naszym mieście. Oczywiście po ofensywie i związanych z nią przejściach, musiałam zainteresować się moją placówką. Apteka nie uległa wprawdzie zburzeniu, ale była całkowicie zdewastowana. Na domiar złego w laboratorium Niemcy urządzili sobie stano-

wisko karabinu maszynowego i cały lokal zasypany był łuskami od pocisków oraz nabojami.

Pamiętam moje pierwsze wrażenie po wejściu do budynku. Było niesamowite. Na samym środku korytarza niedaleko drzwi magazynu leżał trup młodego Niemca ze sterczącym z czoła odłamkiem granatu. Przez trzy dni obchodziłam zwłoki dookoła, błagając wszystkich spotkanych po drodze znajomych i nieznanym, by mi pomogli usunąć zabitego, ale wiadomo – w tym gorącym czasie powrotów na „własne śmiecie” i urządzania się od

nowa na jakim takim gospodarstwie – każdy zajęty własnymi sprawami nie miał czasu ani chęci zajmować się drugimi. Nie znalazłam zatem altruisty i zmuszona koniecznością, przy nikłej pomocy młodej mojej wychowanki, a w przyszłości laborantki aptecznej, wzięłam Niemca pod ramiona a pomocnica za nogi i przeniosłyśmy go z korytarza na schody przed budynkiem, zawiadomiwszy tworzącą się w tym czasie władzę miejską, że należy co prędzej pochować zwłoki. Na drugi dzień rzeczywiście już ich nie ujrzałam.

*Fot. Rynek krośnieński  
(1945r.).*



Apteka przedstawiała opłakany widok: wszystkie szyby powybijane, wiele półek połamanych lub zwalonych, na podłodze pełno gruzu i śmiecia, po-  
otwierane szafki i potłuczone lustra i naczynia. Zobaczywszy takie spu-

stoszenie po prostu opadły mi ręce. Nie wiadomo było od czego zacząć, by doprowadzić wszystko do porządku. Przy tym wszystkim brak było zupełnie jakiegokolwiek pomocy, byłam zdana na własne siły i przedsiębiorczość. Na razie oczywiście pacjenci nie ukazywali się, z rzadka tylko zabłąkała się jakaś żywa istota pytając o podstawowe leki jak aspiryna, pyramidon lub tym podobne. O towarze nie było w tym czasie nawet co marzyć. Gdzieś z zakamarków, zza ocalałych półek, z piwnicy, powoli pozbierałam skąpe i mizerne resztki i zaczęłam „próbować” uruchomić aptekę. Szło to bardzo ciężko. Codziennie przed południem, słysząc świst przelatujących jeszcze ciągle pocisków, biegłam z domu do pracy, usiłując nadać aptece porządniejszy wygląd. Często zastawałam rozbite drzwi i z powrotem porozrzucany towar. Widocznie podczas mojej nieobecności nieuczciwy „element” plądrował lokal, wybierając dla siebie, co uważał za wartościowsze czy potrzebne.

Z biegiem czasu aptekę zaczęli odwiedzać sprzedawcy, oferując niektóre specyfiki do sprzedania. Jakże często na wielu z nich znajdowałam pieczętki swojej apteki, nie mogąc jednak zwrócić uwagi sprzedającemu, że towar pochodzi z pewnością z kradzieży. Kupowałam więc zrabowane lekarstwa,

bo aptekę trzeba było przecież koniecznie zapełnić, a innych źródeł na razie nie było.

Gdzieś z końcem października otrzymałam okazją wiadomość, że w Rzeszowie, który stał się miastem wojewódzkim, tworzy się Izba Aptekarska i że powinnam tam pojechać. Podobno można już nawet otrzymać w Rzeszowie trochę lekarstw, które jednak należało zabrać ze sobą, jako że żadnych środków transportowych jeszcze nie było, a korzystało się tylko z przygodnych okazji. Udało mi się zdobyć właśnie taką okazję, gdyż mieszkający u nas kapitan jechał gazikiem do Rzeszowa i chętnie zabrał mnie ze sobą.

Dzień był śliczny, prawdziwy dzień „babiego lata”, ciepły i słoneczny. Jechaliśmy najbliższą drogą przez Przybówkę, Frysztak i Strzyżów. Piękny dzień i pozorny spokój w atmosferze doskonale odprężał nerwy, napięte dotychczasowymi przeżyciami. Puste dokoła pola, zasnuwane pajęczynami i oświetlone słońcem, były ciche i piękne. Jechaliśmy bardzo szybko, gdy nagle, przeleciawszy drogę, wybuchł opodał za nami w rowie niewielki pocisk. Spokój opuścił mnie natychmiast. Siedząc tyłem do kierunku jazdy widziałam doskonale fontannę ziemi i odłamków, wystrzelających w górę „wspaniałym” fajerwerkim. A gdyby tak w nas? ...

Szum motoru zagłuszył wprawdzie nieco huk wybuchu, ale nie mniej taki widok nie należał do przyjemności. Przyjechałam do Rzeszowa całkowicie roztrzęsiona.

Powrotną drogę jechaliśmy na Lutczę i Domaradz, nie chcąc się narażać na ewentualny obstrzał. W Rzeszowie rzeczywiście zdobyłam nieco towaru i z triumfem porzyskładałam zdobycz na półkach. Zaczęły się teraz jednostajne dni mozolnej pracy i ciągłego jeszcze porządkowania. Z braku ustalonych cen ciężko było kalkulować marże, niektóre towary, kupowane prywatnie sprzedawało się inaczej, niż nabyte w Rzeszowie, wielu, a właściwie prawie wszystkich, brakowało.

1 listopada lekarz powiatowy, tak zwany dawniej „fyzyk”, kazał oficjalnie otworzyć aptekę, wyznaczył godziny pracy, i wpadał od czasu do czasu na kontrolę. Żadnej siły pomocniczej nie było dotąd. Męczyłam się sama, biegając rano otwierać lokal, by w południe, znowu biegiem wpaść do domu na obiad, doglądać dzieci i z powrotem otworzyć aptekę. Ciężkie to było życie.

Przy tym dręczyła mnie niepewność o męża, który od początku wojny został zabrany do obozu i od którego od czasu ofensywy nie miałam zupełnie żadnych wiadomości.

Dopiero z początkiem lutego zgłosił się do mnie magister repatriant ze wschodu, którego po prostu przyjąłem „z otwartymi rękami”. Nareszcie skończyła się „mordownia”. Można teraz było wprowadzić normalniejszą pracę i normalniejszy tryb życia, prowadzić aptekę na zmianę i nieco wypocząć.

W międzyczasie, w styczniu, front przesunął się dalej na zachód i nareszcie zapanował, przynajmniej na tym odcinku, spokój. Przestały ciągle gwizdać nad głową kule i pociski. Wysiedleni również ściągali coraz tłumniej do miast, zaludniały się ulice, zaczęto, mimo zimowej pory, naprawiać i łątać mieszkania i budynki, otwarto urzędy i biura.

O towar dla apteki było dalej dosyć ciężko, ale przynajmniej od czasu do czasu moje wyjazdy do Rzeszowa przyczyniły się do powiększenia asortymentu leków. Już w tych podróżach nareszcie nie groziło rozszarpanie przez wybuchające pociski na drodze. Zima tego roku była na ogół łagodna, na



szczęście, gdyż uszkodzone piece apteczne nie bardzo na razie nadawały się do użytku, a ja w ogóle bałam się nawet do nich podejść od chwili, gdy specjalna brygada sowieckich saperów skierowana do odminowywania terenu, powyciągała z naszych pieców kilka min, które przed swoją ucieczką z miasta Niemcy systematycznie tam umieszczali.

Pierwsza w okolicy ruszyła rafineria nafty w Jedliczu i jej pracownicy prawie zaraz ponaprawiali poprzerywane gazowe rurociągi, tak, że w styczniu już można było doskonale opalać piece gazem, natomiast elektryczności nie było jeszcze wcale, a że i z naftą było dość krucho, siedzieliśmy przeważnie wieczorami w ciemnościach, korzystając tylko w aptecce, która musiała być czynna mimo wszystko, ze skąpego i migotliwego światła skromnych świeczek, których jeszcze kilka zdołałam „wygospodarować” z czasów przed ofensywą.

Dni były jednak już coraz dłuższe a także powoli, powoli zaczęto otwierać niektóre sklepy, w których od biedy zaopatrzyć się dało w najniezbędniejsze do oświetlenia przybory, jak lampki naftowe, naftę i świece. Na koniec i elektrownia w pobliskiej Męcince została uruchomiona i upragnione światło zabłysło w mieszkaniach.

W sierpniu, po pięciu latach nieobecności, wrócił nareszcie mąż z obozu i chociaż po okropnych przejściach obozowych był chory i właściwie więcej musiał leżeć i odpoczywać, poczułam się jednak „pod opieką” i mimo dalszych trudności, raźniej zabrałam się do pracy. Ciągle jeszcze trzeba było wyjeżdżać do Rzeszowa po towar i na różne zebrania Izby, ale czuło się coraz szybsze powracanie normalnego życia.



Zaczęły już kursować pociągi, wprawdzie ogromnie przepełnione, z oknami często bez szyb lub zabitymi dyktą, wagony niejednokrotnie poprzerabiane z towarowych lub zwykłych, a także bydłowych, ale zawsze wagony, które wyruszały z dworców w różnych kierunkach i którymi, nie licząc na ewentualną

okazję można było dostać się do zaplanowanej miejscowości.

Największą radość sprawiła mi pierwsza po wojnie podróż do Krakowa. Jechało się wówczas okrężną drogą przez Nowy Sącz, przez okropny objazd nad przepaścią na wściekle wysokich wiązaniach z niebotycznych sosen, które stanowiły most kołyszący się i skrzypiący, gdy na niego wladował się pociąg. Wspaniały wiadukt pod Grybowem, jak również zawalony tunel nie istniał, wysadzony w powietrze przez cofającego się okupanta. Na ich miejsce zbudowano właśnie takie prowizoryczne mosty, które jadących przyprawiły o okropny dreszcz strachu. Jazda jednak odbyła się jakoś szczęśliwie i z Krakowa przywiozłam a częściowo przesłałam, mnóstwo potrzebnych leków, o które w niezniszczonym mieście było stosunkowo o wiele łatwiej.



Tak praca w aptece jak i w domu pochłaniała prawie cały czas bez reszty, jedyną przyjemnością były niedzielne wyjazdy w okropnie zniszczone okolice. Jako stara, zapalona motocyklistka, zmontowałam jakiś motor i służył nam do wspomnianych wypraw.

Pierwszy taki wypad zrobiliśmy w okolicy Dukli, która najwięcej ucierpiała podczas styczniowej ofensywy.

Już samo miasteczko właściwie prawie wcale nie istniało. Na miejscu dawnych zabudowań widniały głębokie leje po bombach i pociskach, kilkoro spotkanych ludzi snuło się jak cienie po wymarłym mieście. Na drodze za miastem, wzdłuż drogi w polach, w stratowanym zbożu, przez prawie cały czas jazdy do Gorlic, spotykało się popalone czołgi, sterczące w niebo nieme lufy dział, porozbijane hełmy, a gdzieś tam nawet jeszcze nie uprzątnięte trupy końskie patrzące zbieleńcami oczyma w słoneczne, jesienne niebo. Tyle lat minęło już od tej pory, a ciągle jeszcze widzę ten straszny obraz, następstwo dzikich, morderczych walk w tamtych okolicach, skutki niesprawiedliwej wojny.

W aptece praca szła już normalnym trybem. Zmieniali się tylko pracownicy i magistrzy, wielu z nich wędrowało na zachód w poszukiwaniu albo lepszych warunków pracy, albo nowości, albo może „przygody”. Na ich miejsce przychodzili inni, byli krócej lub dłużej, ale w tym czasie jakoś jeszcze zawsze można było dostać siły zastępcze. Na ogół współpraca układała się nam dobrze i dziś jeszcze spotykając niejednokrotnie w swoich wędrowniach wakacyjnych dawnych magistrów czy laborantów, przyjemnie spędzam z nimi czas na wspomnianiu tamtych dziejów. Widocznie nie byłam zbyt „srogim” szefem, ale to już na marginesie.

Najgorsze dla mnie czasy jako kierownika zaczęły się mniej więcej w roku 1948. Z jednej strony, to jest od strony „fachowej” praca była już unormowana, asortyment leków coraz większy i szerszy, na ogół przestawało się odczuwać braki, ale z drugiej strony, tej od „finansów”, stawało się coraz gorzej. Utworzone w międzyczasie różne komisje, kontrole, inspekcje skarbowe i specjalne poczęły nękać człowieka. Prawie codziennie ktoś z członków takiej komisji gościł w aptece i nie patrząc na ruch pacjentów ani na zajęcia personelu, „buszował” po lokalu, zaglądał do wszystkich nieomal szuflad i szukał, szukał ... . W ślad za tymi czynnościami poczęły się sypać różne domiary, mandaty, sprawy itp.

Praca, skądinąd przyjemna, zaczęła stawać się znowu coraz bardziej nerwowa i niemiła. Dwa, czasem nawet trzy razy w roku zarządzano kontrolne remanenty (zmora wszystkich fachowców, którzy tej czynności bardzo nie lubią, jako że remanent to straszne nudziarstwo), a potem znowu da capo: domiary, grzywny, itd. Skutkiem takiego postępowania zaczęłam zapadać na zdrowiu. Noce do tej pory spokojne (zasypiałam, ledwo przyłożyłam głowę do poduszki) stały się prawie bezsenne. Ranki witałam z biciem serca i ściągniętą jak zmora twarzą, niewyspana szłam do pracy i oczekiwałam na kolejną

wizytę czy to kontrolera czy poborca podatkowego, czy innej istoty z nowej jakiejś „branży”. Na koniec znajomy lekarz poradził mi świetną rzecz:

– *Rzuć to wszystko do licha, zdaj komuś aptekę, a sama idź do innej apteki na zwykłego pracownika, bo w tym tempie jak dalej pójdzie to i ciebie nie będzie – zażartował.*

Był właśnie rok 1950. Mój znajomy miał zresztą w tej radzie także i swoje wyrachowanie. Istniejąca w mieście apteka Ubezpieczalni Społecznej przechodziła na dwuzmianówkę i koniecznie potrzeba tam było jeszcze jednego rutynowanego fachowca, który by mógł prowadzić drugą zmianę. A, że wspomniany lekarz był w tamtym czasie właśnie kierownikiem Ubezpieczalni, usiłował mnie przekonać, że taka zamiana będzie z korzyścią nie tylko dla nich, ale i dla mnie. Niedługo się wahałam. Moja apteka i tak przestała przynosić dochód a sprawiała tyle kłopotów i rujnowała zdrowie, że propozycja wydała się raczej dobra.



*Fot. Budynek ówczesnej Ubezpieczalni Społecznej (dzisiaj siedziba Sądu Okręgowego).*

25 października 1950 roku porozumiałam się telefonicznie z naszą władzą w Rzeszowie, prosząc by przyjechali odebrać aptekę, którą chcę oddać pod zarząd państwowy, gdyż sama idę do pracy gdzie indziej. Obiecali rozpatrzyć sprawę. 28-go rano zbudził mnie dzwonek. Przyjechała komisja i delegacja społeczna z Rzeszowa. Zgodzili się na moją koncepcję. Oczywiście zaczął się natychmiast remanent, ale tym razem czynność tą powitałam bez przykrości. 1 listopada 1950 roku, na własną prośbę „zostałam zdegradowana” i stałam się zwykłym, szarym pracownikiem apteki Ubezpieczalni Społecznej.



Od razu, z miejsca weszłam w rytm tamtejszej pracy i nie czułam się zupełnie pokrzywdzona. Miałam nareszcie upragniony spokój. Otoczenie, to jest starzy tamtejsi pracownicy, przyjęli mnie bardzo przychylnie. Starali się w miarę swoich możliwości wszystko od razu mi pokazać i objaśnić, może dlatego, że właściwie w tak niewielkim mieście (choć powiatowym), prawie wszyscy znają się między sobą i chociaż ja niekoniecznie znałam wszystkich, jednak dla nich nie byłam zupełnie obcą (przynajmniej z widzenia).

Pracy było dużo. Zanim do aptek uspołecznionych doszło zarządzenie o dopłatach do recept dawaliśmy wówczas jeszcze wszystkie leki bezpłatnie, nie było więc zwłoki na liczenie, dlatego też przyjmowanie odbywało się szybko, a że ubezpieczeni byli obowiązani tylko właśnie w aptecę Ubezpieczalni pobierać lekarstwa, sterty recept na jednej zmianie rosły w zastraszający sposób. Były dni, w których wykonanie lekarstw w ciągu 7-miu godzin pracy przekraczało liczbę 90-ciu recept. Dużo wówczas przygotowywało się w aptekach preparatów galenowych, wszystkich tinktur, spirytusy, maści itp. Musieli wykonywać magistrzy z kierownikiem włącznie, bo fachowców nie było zbyt wielu i właściwie apteki odczuwały brak personelu.

Były dni, kiedy naprawdę człowiek wracał po pracy mocno zmęczony, ale przynajmniej spokojny, bo świadomość, że żadna, choćby ministerialna kontrola już mnie nie dotyczy, błogim spokojem napełniała serce.

Kierownik (mgr farm. Witold Konstantynowicz), mimo że straszny nerwus, ale był sympatyczny i kulturalny. W wolnych chwilach, o ile takie kiedykolwiek się trafiały, potrafił wspaniale opowiadać o swoich perypetiach i przeżyciach w obozie jenieckim na Węgrzech, a również umiał sypać dowcipami, których zawsze miał sporo do dyspozycji.

I tak się układały warunki do stycznia 1952 roku, kiedy to w całym kraju zapanowała straszna epidemia grypy. Jeszcze w grudniu poprzedniego roku zaczęły się jej sygnały. W okresie świąt już po kilka osób zaczęło chorować, ale dopiero to, co stało się w styczniu, wykończyło mnie ostatecznie. Najpierw kierownik złamał nogę i położył się na dobre kilka miesięcy (komplikacje z wysiękiem), potem codziennie zaczęło kogoś z apteki ubywać, aż wreszcie u szczytu nasilenia grypy, kiedy przez poczekalnię przewalały się dosłownie tłumy, zostałam w całej aptece samiuteńka, tylko z jedną młodą magister-praktykantką, bo nawet obie sprzątaczkę położyła grypa. Nie było dosłownie kiedy zjeść, kiedy się umyć, zapalić papierosa.

Otwierałyśmy aptekę punktualnie o 8-mej, zamykałyśmy dosłownie o 12-tej w nocy, a i to jeszcze poczekalnię oblegał zwarty tłum ludzi, nie reagujący



na perswazje, tłumaczenia ani prośby. Sterty przyjmowanych recept wznosiły się w tempie przerażającym a niewiele z nich można było wyrabiać, bo w okienku praktykantka, zdana na własne siły i słabą jeszcze znajomość nomenklatury, co chwila wędrowała na recepturę z „zapytowaniami”. Na domiar złego, w naszej aptece wypadł tydzień nocnych dyżurów. Ludzie spali już wtedy nieomal w poczekalni, nie dając się stamtąd w ogóle wyrugować i czekali na lekarstwo.

Pamiętam, że przyszła wreszcie taka jedna noc, że położyłam się w niej zaledwie na półtorej godziny i zerwawszy się podświadomie po krótkiej drzemce, wsadziłam dosłownie głowę pod kran i ocuciwszy się lodowatą wodą, stanęłam z powrotem do pracy.

Na drugi dzień przyjechał właśnie inspektor z Rzeszowa, stary praktyk – magister, który zobaczywszy co się dzieje, zamiast inspekcji, zawiązał rękawy, stanął przy okienku ekspedycyjnym i zwolniwszy na godzinę praktykantkę, by poszła zjeść obiad, zwrócił się do mnie słowami: *Idź kobito trochę wyrobić recepturę, bo z tej góry recept nigdy się nie wygrzebieesz, a potem zdrzemnij się trochę, ja ile się da, pomogę*. Spojrzałam na niego z wdzięcznością, bo rzeczywiście bez jego pomocy nie wiadomo jak byłobyśmy w dalszym ciągu mogły w ogóle pracować.

Dwa dni inspekcji ten ludzki i wyrozumiały magister – inspektor robił co tylko mógł, by jako tako rozładować napiętą sytuację i przynajmniej trochę nas odciążyć. Na szczęście, jakoś niebawem po jego przyjeździe, kulminacyjny punkt zachorowań załamał się i powoli chorych w poczekalni zaczęło ubywać. Wracał też stopniowo wyleczony personel i praca stawała się zbliżona do normalnej. Jednakże zastępstwo chorego kierownika jeszcze kilka miesięcy ciążyło mi na głowie.

Wspominając nieraz tamten okres dziwię się ogromnie, że go przetrzymałam, że nie tylko, że się nie rozchorowałam ale, że w ogóle nawet się nie załamałam.

Z biegiem czasu przybywało fachowców, wszystkie prawie „luki” zostały zapełnione, praca była coraz bardziej spokojna i unormowana.

Kilka lat później zostałam przerzucona na zastępstwo do mojej dawnej apteki. Zastałam w niej duże zmiany. Najpierw lokal został całkowicie wyremontowany, przebudowany i odnowiony, urządzenie sprowadzono zupełnie nowe, szkło wszystko ciemne i jednolite. Nieraz zastanawiałam się, że jakoś dziwnie nad wszystkimi zmianami przeszłam do porządku dziennego „bezboleśnie”.

Znam wielu starszych kolegów, którzy ciężko przeżywali późniejsze zresztą od mojego, dobrowolnego upaństwowienia apteki. Ja czułam się wyzwolona od różnych kłopotów związanych z dawniejszym prowadzeniem placówki. Byłam zwykłym, szarym pracownikiem, który po wykonaniu swej codziennej pracy, którą zresztą lubię, szedł swobodnie do domu nie myśląc, że jeszcze czekają mnie różne „rozliczenia”, kontrole personelu, ewentualne inspekcje, służbowe wyjazdy, konferencje itp.



Mój powrót „na stare śmiecie”, wielu dawnych klientów powitało z radością, zdarzyło się, że ci stali bywalcy apteki, ujrawszy mnie przy ekspedycji serdecznie pytali mnie o zdrowie, ciesząc się, że widzą mnie znowu i że jak zwykle odnoszę się do nich życzliwie i wyrozumiale. Jak ogromnie miło człowiekowi, gdy chorzy uznają i oceniają jego pracę. Naturalnie, że i ja odczuwałam zadowolenie często w takich razach i starałam się jeszcze podwoić wysiłki, by lek dokładnie przyrządzony szybko dostał się do pacjenta i by jak najkrócej tenże pacjent musiał czekać „w ogonku”.

Przy stole ekspedycyjnym stałam jednak coraz rzadziej i właściwie bezpośredniego kontaktu z klientami miałam teraz o wiele mniej niż dawniej. Fachowcy – magistrzy byli zajęci raczej przy recepturze a wydawanie i przyjmowanie leków stało się funkcją techników, których wówczas na gwałt zaczęto szkolić, by uzupełnić brak personelu fachowego. Bo te braki znowu zaczęły się dawać odczuwać. Dlaczego?

Od czasu stabilizacji władze PRL zdążyły do rozbudowy nie tylko sieci aptecznej ale zaczęły również tworzyć punkty apteczne różnego typu, nowość nieznaną przed wojną, do których znowu oczywiście potrzeba było, jeżeli już nie magistrów, to przynajmniej techników. Z aptek więc, mających do tej pory „komplet” zabierano po jednym pracowniku kwalifikowanym, by skierować go do nowopowstałych placówek. I w naszym mieście został otwarty Punkt Apteczny I Typu, do którego z dawnej apteki Ubezpieczalni przeszły dwie osoby.

Miasto nasze ogromnie rozbudowujące się po ostatniej wojnie i powiększające zarówno swój obszar jak i zagęszczenie ludności, tłumnie napływającej do fabryk i kopalń, wymagało odpowiednio „poszerzonej” bazy, dostarczającej

leków. Powstał więc w Dyrekcji Aptek projekt otwarcia nowej apteki w nowo zbudowanych blokach w okolicach dworca kolejowego. Uruchomienie tej placówki zależne było od skompletowania całego personelu z kierownikiem na czele. Co tam Dyrekcja kombinowała i jakie na ten temat odbywały się narady, nie jestem zorientowana, w każdym razie pewnego pięknego poranka zjawił się w aptece dyrektor wraz z personalnym i poprosił mnie „na poufną rozmowę” przedstawiając cudowne perspektywy pozostania kierownikiem w otwierającej się aptece. Po chwilowym zaskoczeniu i namyśle zdecydowałam, że jednak raczej zostanę w dalszym ciągu zwykłym, szarym pracownikiem i podziękowałam za zaufanie, wysuwając na to stanowisko kandydaturę mojej młodszej koleżanki. Ponieważ w międzyczasie inna osoba starała się usilnie o otrzymanie kierownictwa, w rezultacie wszystkie plany dyrekcji w końcu się zmieniły.

W październiku 1958 roku została nareszcie otwarta trzecia apteka, w której od początku jej istnienia zaczęłam pracować jako stary fachowiec. Na razie nie zanosilo się na zbyt wiele pracy, więc i personel był szczupły, właściwie byłam jedna na zmianie i musiałam przez początkowe miesiące „ciągnąć” zarówno ekspedycję jak i recepturę, co jednak w końcu tak mnie zmęczyło i zdenerwowało, że aż „przemówiłam się” z kierowniczką, a w duchu po cichutku zaczęłam żałować, że nie przystałam na propozycje objęcia kierownictwa, które dałoby mi przecież o wiele więcej swobody.

Po owej jednak „awanturze” moje słuszne racje zostały uwzględnione i do ekspedycji przyszła nowa magister, wprawdzie zupełnie „surowa” i bez praktyki. Szkolenie jej więc znów mnie przypadło w udziale, jednak zawsze już było o tyle lżej, że przynajmniej w wielu wypadkach można się było wyręczyć a gdy opanowała w niedługim czasie sztukę taksowania recept, mogła już z powodzeniem samodzielnie stanąć przy okienku ekspedycyjnym, co mnie oczywiście ogromnie odciążyło.

Pracy przybywało coraz więcej, ruch wzrastał się, okoliczne bloki świeżo zamieszkałe pełne były zwłaszcza dzieci, które przecież częściej chorują niż dorośli i wymagają więcej opieki.

W 1960 roku apteka miała już pełną obsadę, pracowaliśmy wszyscy spokojnie na dwie zmiany. Stosunki zupełnie się unormowały. Również i u mnie w domu przez ten czas zaszło wiele zmian. Dzieci podorastały w szybkim tempie, najpierw jedna, później druga córka wyszły za mąż a chłopcy, chociaż jeszcze chodzą do szkoły, stali się bardziej samodzielni i „dorośli”.



Od czasu tych zmian, mam wiele wolnych chwil dla siebie, powróciłam więc do swoich dawnych upodobań i oddałam się z zapałem społecznej pracy w Oddziale PTTK w naszym mieście.

Tak szczęśliwie się zdarzyło, że prawie zaraz po wojnie, gdy tylko w naszym mieście zostało utworzone wspomniane Towarzystwo, wpisałam się doń, nie mając wówczas jeszcze nadziei na rychłe „wykorzystanie” swojego czasu tamtej placówce. Ponieważ jednak jeszcze za czasów studenckich byłam członkiem podobnego w Krakowie, było mi przyjemnie chociaż w roli nieaktywnej, przypominać sobie dawne chwile.

Tymczasem niedługo potem wybrano mnie do Zarządu, w którym byłam tylko gościem na zebraniach, bo inna praca pochłaniała moje siły. Teraz wszystko się zmieniło.

W aptece idzie robota zwykłym trybem, po zmianie ma się wolne dla siebie, zawsze kilka godzin można „wygospodarować” na własne przyjemności. „Odbijam” więc sobie niewykorzystane ongiś momenty i stwarzam relaks na płaszczyźnie turystycznej. W każdą wolną niedzielę już od wczesnej wiosny organizuję przyjemne wycieczki, na które prócz moich synów chodzą ich koledzy i inni znajomi. Urlop w zupełności poświęcam na dalsze wędrowki a w jesieni, gdy zaczynają się szarugi i chłapy, organizuje w Klubie Turysty odczyty i pogadanki na tematy krajoznawcze. W zimie, kiedy tylko jest dużo dobrego śniegu, jeszcze do dziś dnia uprawiam narciarstwo, a w miejscowym radiowęźle wygłaszam pogadanki i odczyty oraz dzielę się wspomnieniami z odbytych wycieczek.

W bardzo pogodne i upalne dni siadam czasem nawet jeszcze na motocykl, który prowadzę z przyjemnością, muszę jednak po cichu przyznać, że na tym rumaku wyjeżdżam właściwie „kondracyjnie” w niedzielne południa, gdy na ulicach ruch zamiera, bo wstydę się trochę, że taka stara babka (a babką już jestem naprawdę, ponieważ mój wnuk liczy sobie już trzy lata życia) pokazuje się na drodze na tak typowo młodzieżowym pojeździe, jakim jest bez wątpienia motor.

Ale mimo wszystko nie mogę sobie odmówić tej przyjemności, gdyż wspaniałe obecnie drogi same zapraszają do jazdy.

Pamiętam jeszcze dobrze nasze przedwojenne wyprawy motocyklowe, kiedy oboje z mężem prowadziliśmy motocykl na zmianę, zmęczeni ciągłym wypatrywaniem ogromnych dziur i wyboi na bitych szosach i gdy do domu wracaliśmy z bólem kości, mocno „wytrzepanych” na wertepach. A dziś? Wspaniałe, asfaltowe drogi przecinają kraj w różnych kierunkach i jazda po nich poprawiła przyjemność.

Czasem, gdy pogoda gorsza lub nie mam ochoty przebierać się specjalnie do motocykla, korzystam z autobusu i robię krótkie wypadki do znajomych w okolicę. Również i tę zdobycz (to jest komunikacje autobusową) prócz doskonałych szos bardzo sobie chwalebę i jestem zadowolona, że w krótkim czasie i wygodnie mogę dojechać do prawie każdej miejscowości, co przed wojną w ogóle było nie do pomyślenia.

W tym spokojnym, unormowanym trybie życia dręczy mnie tylko czasem niekulturalne zachowanie się lub co najmniej dziwne żądania pacjentów na nocnych dyżurach. Zdaje mi się, że ludzie na ogół są źle wychowani i nie zdają sobie po prostu sprawy z pracy człowieka, ani nie cenią jego czasu. Nierzadko bowiem zdarzają się takie wypadki, że dzwoni pacjent o godzinie mocno spóźnionej (na przykład o 24:30 – w nocy) i przynosi receptę sprzed trzech dni na witaminę C i akron. Tłumacząc wtedy takiemu, że to nie jest wypadek nagły a recepta nie dzisiejsza a klient zaczyna się awanturować, że od tego są dyżury nocne, by wydawać leki i że jeśli jemu tak się podoba przyjść, to ja muszę być do jego dyspozycji. Jeszcze straszy milicją. Albo podobny casus: dzwonek dzwoni jakby przynajmniej usiadło na nim pięciu ludzi. Godzina 2:15 w nocy. Dopiero co zasnęłam, po wyekspediowaniu chorego, któremu robiłam dwanaście czopków z pantopranem. Zrywam się na równe nogi i biegnę „galopem” do okienka, a przy okienku młody człowiek prosi o maść cynkową bo zrobił mu się na nosie pryszczyk i on nie może jutro iść do biura, bo jak będzie wyglądał!, ... Myśli, że po jednorazowym posmarowaniu ten pryszczyk mu zniknie?

Zauważyłam, że najgrzeczniej zachowują się ci, którzy naprawdę przyszli w ważnej sprawie i rzeczywiście potrzebują tego leku jak najszybciej, takich naturalnie załatwiam z całym „pietyzmem” i współczuciem, ale tych drugich chętnie bym nieraz „wytlukła”, żeby w przyszłości pamiętali, że praca w aptece jest jednak pracą wytężoną i odpowiedzialną, że pracownik po nocnym dyżurze pełni dyżur dzienny przez następne siedem godzin i że apteka nie nadaje się do kpin czy żartów. Na szczęście podobne wypadki zdarzają się sporadycznie i są coraz rzadsze.

Na ogół praca jest przyjemna i nie sprawia mi większych kłopotów. Jest urozmaicona, bo można zmieniać zajęcia z recepturowych na ekspedycyjne czy defekturowe, czasami nawet zastąpić księgowego w pisaniu rachunków a zresztą jak każda praca dobrze spełniona daje dużo zadowolenia. Wracając do naszych dyżurów, wspomnę jeszcze, że niekiedy, późną już porą, gdy dokoła zapanuje głęboka cisza, człowiek jeszcze nie czuje się śpiący i zmęczony, puszcza wodze fantazji czy rozmyśla i w takich chwilach próbuje swoich sił na zupełnie innej niwie.

Rezultatem takich wieczorów są rzucone na papier „literackie utwory” czy to z gatunku prozy z wakacyjnych wędrówek czy nawet wierszy, nie mających wprawdzie pretensji do „literatury”, niemniej oddające własne przeżycia, radości i zmartwienia ...

I na zakończenie przytoczę jeden z nich, jako reminiscencje owych dumań:

### ***Dyżur nocny***

*Półki pełne lekarstw – flaszki, stoje  
Niespokojne czuwanie – oczekiwany dzwonek...  
Nie powiem, że się boję  
Ale – nie odmykając powiek  
Wychodzę w ciemny korytarz i chwilę stoję...  
Czekam. Czas – mgnienie oka – a jednak się dłuży:  
Czy się wezwanie powtórzy?  
Jest. Drzwi za kratą, okienko – człowiek.  
Recepta: zastrzyk, proszki, krople na serce.  
Drżą ręce, które chciwie po ratunek śpieszą.  
– Taksa nocna – Już płacę, byle prędzej, prędzej  
powrócić do chorego, usnąć i pocieszyć.  
Pacjent wnet załatwiony. Znów cicho... Co więcej?  
W sercu własne zmartwienia, których nikt nie dzieli.  
Obco, pusto, daleko...  
Myśli w chaos skłębione, wrogie i nieswoje...  
I wyblakłe marzenia  
Wśród mroków i cienia...  
Godzina duchów: dwunasta.  
Na szybie smuzka blasku odległego miasta  
Ciężkie, duszne powietrze...*



Janina Merska (née Mieszkowska)

## *Master of Science in Pharmacy*

### *Twenty-year period from my life - memories*

Battles in July and August 1944 in famous Valley of Death near Krosno, Dukla and Świdnik destroyed not only that region but also the town of Krosno including a pharmacy „under a lamb” („pod Barankiem”). By the time displaced residents returned to the town, the pharmacy was renovated by its owner and restored to its activities. It was very hard, however, to supply the pharmacy with medicines which were transported with an effort from wholesale companies from Rzeszów and Cracow and often stolen along the way. In the late 1940s, the pharmacy was well supplied and it served the town and its residents. However, the authorities of the state caused numerous difficulties like stocktaking, workplace inspections or fines which made Janina Merska, MA, resign from managing her own pharmacy and start work as a pharmacist in Social Insurance Company in Krosno on 26th October 1950. In that period, the majority of prescribed medicines was prepared in pharmacies, and, at the time of flu epidemic, pharmacists needed to work almost twenty-four hours a day.

In October 1958, Janina Merska began work in a new, third in Krosno, pharmacy on Kolejowa Street. Night shifts in pharmacies were not always treated as the help in emergencies and sometimes a pharmacist was unnecessarily bothered by casual passers-by. Janina Merska had a very interesting and unusual hobby which was riding a motorcycle near Krosno. It was not particularly safe in the post-war period because the roads had been destroyed by military activities. Later in life, Janina Merska was an activist in the Polish Tourist and Sightseeing Society and an author of short literary forms.



## *Franciszka Pika-Mirandoli kontakty z farmacją*



Franciszek Pik (fot.), znany powszechnie pod pseudonimem Mirandola zyskał szeroki rozgłos w okresie Młodej Polski jako poeta, nowelista i tłumacz. Na postać Mirandoli należałoby jednak spojrzeć odmiennie niż dotąd o nim pisano. Skłania do tego fakt, że był on nie tylko literatem, ale farmaceutą. Pod tym drugim aspektem – pracy zawodowej, jego sylwetka wymaga charakterystyki. Liczne bowiem więzy łączyły Mirandolę z dziejami aptek w Galicji i w niepodległej Polsce. Niestety, do tej pory działalność ta jeśli była zauważana i eksponowana w opracowaniach, to z pewnością w sposób marginalny, niepełny, a często błędny.

Od chwili śmierci w 1930 r. na łamach czasopism farmaceutycznych przypomniano Mirandolę kilkakrotnie. Najpierw w „Wiadomościach Farmaceutycznych” ukazał się nekrolog redakcyjny, w którym zebrane zostały pokrótce najistotniejsze szczegóły życia uwzględniające głównie działalność literacką. W zakresie prac aptekarskich nekrolog Mirandoli przytaczał jedynie bardzo nieliczne szczegóły.

W dwa lata później, w 1932 r., to samo czasopismo zamieściło obszerny artykuł Herlaine’a, wydany później w formie książki wraz z antologią twórczości pisarza. Poruszał on przede wszystkim życiowe koleje Mirandoli, ujmując zagadnienie w miarę szeroko, choć trudno zeń, wskutek braku pewnych i wyczerpujących szczegółów, wydobyć konkrety pracy w aptekach.

Najbardziej rzeczowym głosem w dotychczasowych pracach zamieszczanych w czasopismach farmaceutycznych był artykuł Henryka Romanowskiego. Jednakże i tu autor ograniczył się jedynie do encyklopedycznego ujęcia problematyki farmaceutycznej w życiu Mirandoli, podkreślając, że... *obowiązkiem polskiej farmacji jest opracowanie na nasz farmaceutyczny użytek jak najbardziej szczegółowej jego biografii z uwzględnieniem momentów farmaceutycznych jego nauki i pracy...*

Propozycja, a zarazem zachęta Romanowskiego została podjęta przez nas w niniejszej rozprawie. Jest ona próbą ujęcia zasadniczych i podstawowych wiadomości o kolejach farmaceutycznej działalności Mirandoli, na podstawie materiałów archiwalnych dotąd nie publikowanych.

Tradycje aptekarskie w rodzinie Mirandoli były żywe. Poprzez Marię ze Stacherskich, matkę Mirandoli znaleźli się Pikowie w kręgu osoby Ignacego Łukasiewicza. Ojciec Mirandoli, Wojciech Pik, ukończył studia farmaceutyczne we Lwowie w 1856 r. Prawdopodobnie z początkiem lat 60-tych XIX wieku osiedlił się w Krośnie, gdzie w marcu 1867 r. zakupił od Leopolda Chodackiego aptekę realną „Pod Jednorożcem”. Mieściła się ona na parterze narożnej kamienicy w Rynku. Wojciech Pik prowadził ją wzorowo do 1885 r. i tylko wskutek przewlekłej choroby wydzierżawił ją Aleksandrowi Żurawskiemu, który już w 1884 r. był jej zarządcą.

Równocześnie obok apteki krośnieńskiej od 1871 roku Wojciech Pik był właścicielem sezonowej apteki w Iwoniczu Zdroju. Pomimo braku bliższych szczegółów, dotyczących pracy Pika w obu aptekach, warto odnotować fakt jego wystąpienia w Krośnie przeciw praktykowanej od wieków tradycji rozsyłania przez aptekarzy na Nowy Rok klientom apteki i znajomym kadzideł, trociczek, marcepanów i morsulek. Pik ogłosił w 1877 r., że *...zamiast rozsyłania kadzidła ofiaruje rocznie pewną sumę pieniężną na potrzeby miejscowej szkoły.*

*Fot. Wojciech Pik w towarzystwie żony i Honoraty Łukasiewiczowej - żony I. Łukasiewicza.*

Po śmierci Wojciecha Pika konieczność zabezpieczenia dalszej opieki posiadanym aptekom skłoniła żonę do wytyczenia kariery Franciszka, najstarszego syna, w kierunku zawodu aptekarskiego. Sugestię tę podsunął jej



ks. Jan Szabaj, proboszcz z Korczyny pod Krosnem, przyjaciel i kurator sądowy rodziny Pików. Decyzja ta wynikała także z konieczności szukania drogi życiowej dla chłopca. Franciszek wskutek uzyskania ocen niedostatecznych z języka łacińskiego i greckiego oraz matematyki w pierwszym półroczu 5 klasy gimnazjalnej został oddany na praktykę aptekarską za zgodą Gremium Aptekarzy Galicji Zachodniej w Krakowie. Zgoda gremium wyrażona została nieformalnie, gdyż według ówczesnej obowiązującej ustawy przyjmowano na praktykę uczniów, którzy ukończyli pełną szóstą klasę gimnazjalną. Odstępstwo od tej zasady można tłumaczyć dawną pozycją zarówno Łukasiewicza, honorowego członka Towarzystwa Aptekarskiego, jak i Wojciecha Pika, znanego i cenionego aptekarza.

W decyzji matki uwidoczniły się dalekowzroczne plany skierowania później syna Franciszka na wyższe studia. Rozporządzenie bowiem Ministra C.K. Rządu w Wiedniu z dnia 10 maja 1850 r. mówiło wyraźnie, że jedynie *dwuletnia dobra praktyka w publicznej aptece, w charakterze pomocnika aptekarskiego, po ukończeniu egzaminu tyrocynalnego, warunkuje praktyczne przygotowanie do rozpoczęcia studiów farmaceutycznych na uniwersytecie.*

Jakkolwiek zainteresowania farmacją u Mirandoli w tym okresie były problematyczne, niemniej jednak zrozumiał potrzebę podjęcia zawodu wybranego przez matkę. 1 lutego 1888 r. wstąpił na praktykę do apteki „Pod Nadzieją” Antoniego Karpińskiego w Rzeszowie. Ojciec Karpińskiego był dawnym współpracownikiem Łukasiewicza z czasów jego pracy w Rafinerii w Kłęczanach koło Nowego Sącza. Zapewne i to spowodowało, że Karpiński przyjął z chęcią młodego Mirandolę na praktykę do siebie. Praktyka trwała do 31 czerwca 1890., a więc do czasu, kiedy matka przeniosła się z rodziną do Krakowa. Fakt ten znalazł potwierdzenie w dwóch świadectwach wydanych Pikowi przez Karpińskiego. W obydwóch wyraźnie podkreślał, że Franciszek *przez cały czas był pilnym, pracowitym uczciwym i moralnym oraz do zawodu uzdolnionym.* Pełniąc obowiązki z pełnym zadowoleniem Karpińskiego i klientów apteki, a tylko „ze względów rodzinnych” przeniósł się na dalszą praktykę do Krakowa.

W Krakowie, bezpośrednio po przyjeździe z Rzeszowa, rozpoczął Mirandola 1 lipca 1890 r. praktykę u Fortunata Gralewskiego w aptece „Pod Złotym Tygrysem” przy ul. Szczepańskiej 1. Gralewski znany był wówczas jako jeden z wybitnych farmaceutów krakowskich. Przewodniczył w tym czasie Gremium Aptekarzy Galicji Zachodniej, był zasłużonym obywatelem kraju, więźniem stanu i opiekunem młodzieży. W latach studenckich przyjaźnił się z Ignacym

Łukasiewiczem. Przyjaźń trwała do zgonu. Gdy w 1882 r. zmarł Łukasiewicz, Gralewski wystąpił z płomienną mową jako przewodniczący Gremium Krakowskiego, podkreślając zasługi Łukasiewicza i własne z nim kontakty. Dlatego też zapewne przyjął bez wahania na praktykę do swej apteki siostrzeńca Honoraty, żony Łukasiewicza.

Mirandola musiał już wówczas myśleć poważniej o zawodzie aptekarza, skoro w czasie praktyki u Gralewskiego wiele czytał i doskonalił się. Potwierdzeniem tego było złożenie dnia 17 lutego 1891 r. egzaminu tyrocynalnego przed komisją Gremium Krakowskiego złożoną z aptekarzy: Fortunata Gralewskiego, Ernesta Stockmara i Feliksa Sobierajskiego. *Liber Gremium Pharmacopolium Cracoviensium* podaje, że zdał go z postępowaniem celującym, odbierając dyplom mianując go „*artis pharmaceuticae assistentem*”.

Dalsza praktyka u Gralewskiego, już w stopniu podaptekarza, trwała krótko, gdyż do końca lutego 1891 r. Uzyskawszy pozytywną opinię u Gralewskiego, przeniósł się Mirandola na własną prośbę, celem doskonalenia się w zawodzie, do apteki „Pod gwiazdą” Konstantyna Wiszniewskiego przy ul. Floriańskiej 9 w Krakowie. Praktyka u Wiszniewskiego trwała od 18 marca do końca sierpnia 1891 r. 28 września tegoż roku wpisał się na studium farmaceutyczne na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Na pierwszym roku 1891/92 Mirandola studiował chemię nieorganiczną u prof. Olszewskiego, chemię organiczną u prof. Schramma, botanikę u prof. Rostańskiego, mineralogię u prof. Kreutza, geologię u prof. Szajnochy, zoologię u prof. Winejskiego i fizykę u prof. Witkowskiego. Egzamin pierwszy z fizyki, chemii i botaniki złożył Mirandola z postępowaniem dostatecznym, natomiast z zoologii z postępowaniem celującym.

W czasie drugiego roku studiów w latach 1892/93 obok wymienionych przedmiotów słuchał Mirandola dodatkowo wykładów z chemii farmaceutycznej u prof. Schramma i farmakognozji u prof. Łazarskiego oraz z chemii sądowej u prof. Schramma oraz z chemii sądowej u prof. Olszewskiego. Schramm i Łazarski podkreślali, że wykazywał się pilnością w zajęciach.

W dniach 1 i 7 lipca 1893 r. Mirandola złożył końcowe egzaminy praktyczne w pracowni chemicznej i farmakognozy u prof. Olszewskiego i prof. Łazarskiego. 11 lipca przystąpił do egzaminu teoretycznego z wymienionych przedmiotów oraz z farmacji u prof. Łazarskiego. Złożywszy te egzaminy z postępowaniem dostatecznym uzyskał tytuł magistra farmacji.

Bezpośrednio po ukończeniu studiów Mirandola wrócił ponownie do apteki Wiszniewskiego. Pracował w niej w charakterze prowizora do końca

sierpnia 1893 r. Z dniem 1 października powołany został do odbycia służby wojskowej na stanowisko kierownika apteki w Szpitalu garnizonowym nr 3 w Przemyślu. Emil Haecker, przyjaciel Mirandoli, wspominał po latach jego wizytę w redakcji „Naprzodu” „... w mundurze aptekarza wojskowego, ciemnozielonym z ciemnoczerwonymi wyłogami, „przy szpadzie” i paradnym „pierogu na głowie”.

W latach 1894-1895 dzielił Mirandola czas na pracę w aptece z jednej strony, z drugiej zaś kontynuował studia za granicą w Heidelbergu, Berlinie i Paryżu w zakresie chemii, filozofii i nauk społecznych.

Konieczność ratowania podupadłej apteki rodzinnej w Krośnie skłoniła go jednak do powrotu i zajęcia się nią osobiście. Początkowo, od 1 sierpnia 1895 r. Mirandola pracował w aptece krośnieńskiej jako współpracownik. Z dniem 1 stycznia 1896 r. po odejściu A. Żurawskiego przejął osobiście dzierżawę apteki, a zarząd jej oddał Janowi Mieszkowskiemu. Sytuacja taka istniała do końca 1902 r., tzn. do momentu wygaśnięcia kontraktu dzierżawnego.

1 kwietnia 1902 r. dzierżawę apteki przejął Karol Horitza. Apteka, będąca do 1905 r. własnością rodziny Pików (w tym roku nabył ją Wincenty Wojtynkiewicz), dzierżawiona była przez Horitzę do 1908 r. Mirandola pracował w niej z przerwami jako współpracownik od 1 października 1902 r. do 31 grudnia 1903 r., a następnie od 1 grudnia 1904 r. do listopada 1907 r. Gdy w marcu 1908 r. Horitza objął dzierżawę apteki „Pod Gwiazdą” Władysława Grabowskiego w pobliskiej Korczynie, Mirandola wraz z nim przeniósł się także do pracy w tej aptece, gdzie przebywał do końca kwietnia 1909r.



Fot. Apteka w Bukowsku ok. 1910 r.  
n/z: Franciszek Pik – Mirandola z żoną Elżbietą z Lewakowskich